

WOLNE SŁOWO

TYGODNIK SPOŁECZNY, POLITYCZNY, LITERACKI i NAUKOWY.

Adres: Marszałkowska № 77.

POD REDAKCJĄ **Leo Belmonta.**

We wtorek dnia 12 Maja o godzinie 8-ej wieczorem (punktualnie) w wielkiej sali Filharmonii p. Leo Belmont wygłosi **po raz wtóry** odczyt p. t. „**Chrystus i Judasz**“. **Zagadnienie dobra i zła według Leonidasa Andrejewa.**

Bilety do nabycia w kasie Filharmonii, w księgarni Powszechnej, Gebethnera i Wolfa i Centnerszvera.

Z dniem dzisiejszym, celem uzgodnienia daty odbioru pisma na prowincyi z datą na czele numeru, przesuwamy tę ostatnią na dzień Sobotni.

Prenumeratory, którzy opłacili abonament tylko do 1 Maja nie wezmą nam za złe, że przesyłamy im jeszcze obecny numer Majowy w kształcie przypomnienia.

Leonidas Andrejew. „Judaszk Iskarjota i inni“ Przetłóczył z upoważnienia autora *Leo Belmont* Nakładem Księgarni Powszechnej. Rok 1908. Cena kop. 60.

Treść Numeru.

1. Kwestje taktyki politycznej. Polowanie na niedźwiedzia. Pomieszanie idei celu i środka. L. Belmonta.
2. Najnieszcześniejszy naród. *Izy Moszczeńskiej.*
3. Kobieta, jako ofiara i bojowniczk rewolucji: Rosjanka, Polka i Żydówka.
4. Czy profesor Jan Baudouin de Courtenay ma „petersburski katar“? L. Belmonta.
5. Z cyklu „Na szczycie“ *Henryka Wronskiego.*
6. Polak o litwinach. Przez *Weterana.*
7. List otwarty Śmierdziała Amerykańskiego.
8. Buntowanie kobiet.
9. Czy podłość i idjotyzm wolno nazywać po imieniu. (Uregulowanie drobnego rachunku z „Gońcem“).

W dodatku: Kłatwy ghetta (Po śmierci Majmonidesa) Poe-mat L. Belmonta.



„F.Kozłowski“ obecnie **S. NOWACKI**

Warszawa—Rymarska 7, róg Leszna. Tel. 32-99.

NAJTAŃSZE ŹRÓDŁO. Lamp, Porcelany, Fajansu, Szkła, Galanterji, Noży, Widelcy etc., etc. Wynajmuje nakrycia stołowe, platery, bieliznę, krzesła, stoły. ŻYRANDOLE kościelne i salo-nowe do świec i gazu. — Wielki wybór Najniższe ceny. Reperacye i odnawianie żyrandoli. W wielkim wyborze przyrządy kryształowe do żyrandoli. — Jedyne palniki naftowo-żarowe bez wszelkich komplikacyi 60% oszczędności nafty. Komplet rub. 3.

Buntowanie kobiet.

Jeżeli w grupie kobiet znajduje się choćby jedno niemowlę płci męskiej, niesione na rękę, to już gramatyka nakazuje kobiecie, opowiadając o tej grupie, powiedzieć „poszliśmy”, „widzeliśmy”, zamiast „poszłyśmy”, „widziałyśmy”. Taki jest wynik nieustannego myślenia o płci w gramatyce—taki jest wpływ tego pana stworzenia, tradycyjnego władcy kobiet, małoletniego mężczyzny na psychę gramatyczną kobiety.

Z odczytu prof. Baudouina de Courtenay'a „O związku rodzaju gramatycznego ze światopoglądem.

Gdybym posiadał insynuatorsko-publicystyczny talent, święcący takie tryumfy w sprawozdaniach z odczytów prof. de Courtenay'a, napisałbym grzmiący artykuł z mottem:

Ach, ten Baudouin de Courtenay—
To szatan — nie lingwista...
Buntuje nam kobiety...
To sprawa jest nieczysta!...

Poczekajcie... dla większej powagi wystylizowałbym ten artykuł po staro-polsku — tak:

Jeno przenikły i chuciowładny przysłówidz, co nie wybałusza bezzdolnie oczu, ale pilnie przyziera się zjawom społecznym, wyrozumieć zdoła, ku czemu przywiedzie nas bałamutnia i brydzenie rozmaitych frankmasonów i ciarlatańców, którzy ustawicznie fomentują nam podchlebniczymi i rozwięzłymi paplankami nasze białogłowy i podwiki, a nie szczedzą nawet małolatek.

Słepowidze! azaliż nie widzicie, że na wszelakich modnych wiecach, a we wszelakich salach zbiornych, a przy wszelakiej odczytance, wszędy ławą kupią się głowy niewieście, a mężczyźni obaczysz ledwie na lekarstwo?! Zaiste, kardynalniejszej wagi jest wszelaki monotonosny geszeft — i sprawiedliwą rzeczą jest odpocznienie po męskiej mozole przy damie kierowej albo pikowej, w kawalcach wintowej igraszki, albo w cygarowych dymach uczciwego kafehauzu, przy tłustej śpiewce i brzuchotańcu spódnicopodnoszących gwiazd zagranicznych, lubo wreszcie w ustronnym gabinecie przy gołobiodrej mizgusi.

Wszelako rozsądną rzeczą byłoby także wejrzeć, co się dzieje w głowach niewiast naszych po onem krasorodnem klektaniu prelekcyjnem; należałoby wybadnąć, czy w sali redakcyjnej niejakiego

„Steru“ przy ulicy Baudouina nie dziergają rodowi mężkemu monstra kobiece sieci śmiercionośnej, a czy nie kopią czule paluszki niewieście dolów przepastnych pod naszymi stopy?

Boć inaczej przyjdzie on dzień gniewu Pańskiego, a nasze Ewy ozwą się do nas gromowładnie:

„Hardonose i błazniacze chudaki! zatraciliście rozum w bajurach wintowych—zagwazdaliście go przy dziewicach kafezantanu—odzwyczailiście mózgowia wasze od roboty—a my jeno same myślałyśmy społecznie... Wypędzimy was teraz za progi konstytucyjne — z przyszłej sejmowej sali do kuchni i przedpokoju—odbierzemy wam głosy — ustanowimy powszechne głosowanie mono-kobiece matryarchat i ginajkokrację — będziemy wydawały wam drobne kieszonkowe pieniądze z waszych zarobków—pozamykamy wasze popółnocne kluby—zniesiemy prostytucję — i leciutką Napoleońsko-papierową monogamię waszą przerobimy na Drakońsko-rzeczywistą!“

A i cóż poradzimy naonczas, skazani na pacholstwo u niewiast naszych?!

Oto pojazda petersburską przyjechał jakiś łasuś kobiecy, „zakatarzony“ pono mizguś, lingwistyczny machlerz, narodoburca niepochybny, wyrodek przyzwoitego ongi gniazda Krzyżowców-Baldwinów, katedrat nadnewski i bez krzty sumnienia, bez rumieńca na obliczu niewstydnem, pornograficzne miewa odczyty w onym rozpustnym „Sterze“ dla niewiast naszych...

A skutek jaki?...

Kiedym małżonce mojej, gdy powróciła z odczytu, opowiadał pewną historję, a rzekłem:

„Było nas pięciu mężczyzn. Jeden z nas niósł na rękę trzechletnią dziewczynkę. Szliśmy przez ogród —“

pani moja sparaliżowała mnie gromowładnemi oczyma i dziwną miotnęła mi poprawkę:

— Mów: *słyśmy*!... bo jedną dziewczynkę nieśliście na rękę...

I pobladły, a drżący przed niewiastą, sfomentowaną przez Boduena przy ulicy Boduena — wyszeptałem posłusznie:

— Słyśmy!...

Że też magistrat takiemu człowiekowi dał całą ulicę!...

Leo Belmont.



Wolne Słowo

TYGODNIK SPOŁECZNY, POLITYCZNY, LITERACKI i NAUKOWY.

DEWIZA: „Sercem gryzę”
Słowacki.



POD REDAKCJĄ **Leo Belmonta.**

Przedpłata z dodatkiem wynosi:
w Warszawie z odnoszeniem, na pro-
wincji i w Cesarstwie z przesyłką;
kwartalnie 1.50 k.
półrocznie 3 „
rocznie 6 „

Numer pojedynczy 15 kop.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
Marszałkowska 77 m. 17.
Telefon № 118-98.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—6.
Redakcja w Poniedz. i Piątki od 4—6.

Cena ogłoszeń:

Za wiersz petitowy strona I 50 kop.
„ „ „ „ IV 30 „
Reklamowa (przed tekstem) . 40 „
Środkowe 20 „

Uwaga, Zagraniczni abonenci płacą
tyleż co miejscowi.
Zmiana adresu kop. 10.

Kwestje taktyki politycznej.

„Byliśmy najniepewniejszym, naj-
bledszym, że tak powiem, narodem
w historii i ludzkości”.

„Gdzie, kiedy, jaki Polak był ge-
nialnym politykiem?”

Zygmunt Krasiński (Listy).

Ostatnia scena z „Wesela” to obraz
niemocy zbiorowej. Poeta dał obraz
jedności, ale tak przerażającej, że
widzów dreszcz przejmując. Jedność
w wirze bezmyślnego tańca pod
dźwięki muzyki Chochała!

Kiedy ogarnia nas pragnienie jed-
ności, co ma zgładzić wszelkie prze-
ciwienstwa, bądźmy pewni, że uwo-
dzi nas muzyka Chochała.

Bo taka jedność zubożnia, roz-
cieśnia i wyjaławia ducha.

Nie da nam siły jedność pod ko-
mendą Chochała.

*Tadeusz Gruźewski. *)*

Polowanie na niedźwiedzia.

Jeden Wojski w żłości krzyczy, że
[chybiono.
Strzelcy i obławnicy poszli jedną stronę
Na przelaj zwierza między ostępem
[i puszcza,
A niedźwiedź odstraszone psów i ludzi
[tłuszcza
Zawrócił nazad w miejsca mniej pilnie
[strzeżone...

Napozór, niema narodowego demo-
kraty, który nie rozumiałby tych kilku
wierszy z „Pana Tadeusza”, który nie
czułby, że Wojski miał słusność, który

nie pojmowałby, że tak, „jedną stronę”,
nie poluje się na niedźwiedzia, że mądre
polowanie wymaga taktyki *obławniczej*,
strzeżenia pilnego wszystkich miejsc, so-
lidarnego działania na *różnych* posterun-
kach.

Jednak w gruncie rzeczy narodowa
demokracja była zawsze głuchą na żało-
sny krzyk doświadczanego Wojskiego,
wybierała się na polowanie polityczne
do Petersburga bez znajomości owego
rozdziału Mickiewiczowskiego, który dzi-
wnym trafem nosi tytuł: „Dyplomatyka
i łowy”.

Zjawiska społeczno-moralne mają po-
dobieństwo do zjawisk społeczno-mater-
jalnych. Jeżeli krytyka niemiecka upraw-
niała zręczne wyrażenie „Tendenzbär” (*nie-
dźwiedź tendencji*), to z równym prawem
pozwolimy sobie mówić o *niedźwiedziu
reakcji* w północnym ostepie (*Reactions-
bär*), o niedźwiedziu, mającym mocne kły
starego niepoprawnego biurokraty i świeże
pazury czarnej sotni społecznej, a głuchego
na wszelkie Manifesty Czasu. A wyprawę
po autonomię pozwolimy sobie przyrów-
nać do polowania na niedźwiedzia reak-
cyjnego.

Narodowa demokracja, czyli *partja py-
chy narodowej*, uznała za konieczną zasadę
udziału w polowaniu skupienie się na
jednym miejscu wszystkich polskich kon-
federatek—tak wymaga sztyk patriotyczny!
Nie przyszło jej na myśl, że mą-
drość polityczna wcale nie polegała na
tem, aby włożyć gwałtownie w oczy poli-
tycznym grupom rosyjskim skupieniem
konfederatek na jednym miejscu—bo
nawet 36 zlepionych ze sobą kontuszo-
wych strojów nie sprawiłoby innego
wrażenia oprócz *małej barwnej plamy*—nie
imponuje ani liczbą, ani siłą duchową,

*) „Zbytek, czy brak indywidualności”, War-
szawa, 1908. Gebethner i Wolff.

jest poprostu szykiem krawieckim—i nie zbliża bynajmniej myśliwych do celu.

Rozum polityczny przeciwnie wskazywał, że Polacy, wobec małej *wczoraj—dziś* mniejszej jeszcze — w Dumie stumilionowego państwa *zawsze* z konieczności małej liczby, powinni pilnie wyszukiwać tych wszystkich rosyjskich myśliwych, którzy z tych lub owych względów urządzają równocześnie polowanie na niedźwiedzia reakcyi, powinni dbać o to, aby znaleźć się na wszystkich posterunkach myśliwskich, wszędzie współdziałać szczerem myśliwym, wszędzie podsycać zapal do polowania i z kolei dać się porwać gorętszym zabiegom, dawać wskazówki i brać je, o ile prowadzą one do wspólnego celu — upolowania skóry niedźwiedziej i ocalenia wszystkich od kłów i pazurów. Właśnie rozrzucone na wszystkich posterunkach „konfederatki“ polskie zbudziłyby poszanowanie wszystkich prawych (tu możnaby rzec słuszniej: *lewych*) *) myśliwych, miałyby impozycję nawet w oczach reakcyjnego niedźwiedzia, piastującego tradycję przedpaździenikowe w pieluszkach październikowych! Byłaby to owa mądra solidarność — ducha, nie materialna — miejsca, solidarność nie „pawów“, roztaczających tęczyowy ogon frazesów patryotycznych i „papug“, powtarzających pacierz za panią matką Dmowską, ale solidarność dojrzałych mężów stanu, którzy w rozłączeniu fizycznym sprawialiby wrażenie spoistości duchowej przez uświadomienie sobie i wszystkim, że mają jeden cel — acz rozbiegli się, aby niedźwiedzia otoczyć kołem.

Narodowa demokracja — skutkiem nieszcześliwych wpływów czterdziestoletniego ucisku — przełożyła poze grupy niewolników, tulących się do siebie, obzierających się nieufnie w ostępie petersburskim, nie rozumiejących, że albo godzina polowania wybiła — a zatem w Rosyi są szlachetni myśliwi (są z pewnością!), którzy walczą szczerze z reakcją, a w takim razie należy ich wszędzie szukać i podać im dłoń szczerze we wspólnej robocie; albo taka godzina nie nastąpi, a przeto nie byłoby zasady jechać wogóle do Petersburga, do Dumy, bo grupka polskich myśliwych, w obcych ostępach skupiona na pewnym miejscu, idąca *na przelaj* zwierza między ostępem i puszcza, nie mogąca swoją malutką

liczbą dopilnować wszystkich posterunków obławniczych — w żadnym razie *sama* niczego nie dokona.

Ale narodowa demokracja kocha tylko pozory — ona zlekła się solidarności z nową Rosją: przelekła się pozorów zdrady narodowej — w szczerem podaniu ręki rosyjskim współtowarzyszom polowania, pozorów niesolidarności — w rozerwanym szyku obławniczym. Paradę uznała za szczyt patryotyzmu — procesję za politykę!...

„Pawiem narodów byłeś i papugą“ — a niewola nie nauczyła cię rozumu politycznego!...

Nie nauczyła! — jest w tem stokroć więcej *nieszczęścia, niż winy*.

Postępowa demokracja, która znacznie trafniej rozumowała w danym wypadku, nie posiadała ani żdźbła taktu pedagogicznego, nie potrafiła niczego nauczyć narodowo-demokratycznych tłumów, sama — nie wiedząc o tem — ugrzęzła w trzęsawiskach... solidarności żydowskiej. A i to było również raczej nieszczęściem, niż winą świadomą.

Bo błędy postępowo-demokratyczne płynęły z tegoż samego źródła.

Niewola nie jest szkołą przygotowywania mężów stanu!... A piękne „Duchy“ literatury nie łatwo schodzą na tę twardą ziemię *polityki*.

Pomieszanie taktyki i celu.

Narodowa demokracja czyniła wielki błąd logiczny. Mieszała ona taktykę z celem. Sądziła, że taktyka i cel muszą posiadać jedną barwę. Skoro *celem* była autonomia, t. j. taki systemat polityczny, który ma na *celu* podporządkować w sejmie polskim mniejszość polską uchwałę parlamentarnej większości polskiej, gwoli *celom* dobra ogólnego, to i na drodze do tego celu, t. j. już w Dumie, — według rozumowań endeckich — koniecznem jest praktykowanie tej przewagi liczebnej — w każdym wypadku. *A tak endecja przełożyła kokieteryję zwartej małej liczby prawie niemowców po nad impozycję moralną wszechobecności opozycyjnej wymownych partyzantów.*

Zastanawiając się na jednym z wieców zjednoczenia postępowego nad tem pomieszanem barwy *celu* z barwą *środka*, scharakteryzowałem ją tak w swojej mowie:

„Kto polega na wzorowości tej taktyki, ten jakoby twierdzi, że ponieważ posłowie polscy udają się do Petersburga, aby *zasiąść* w fotelach poselskich, muszą

*) Prawica chroni niedźwiedzia — przeszkadzając polowaniu.

tedy odbyć całą drogę z Warszawy nad Nową w pozycyi... przykucającej“.

„A jeżeli oni sądzą — dodałem — że tylko kajdany solidarności bezwzględnej zabezpieczają nas przed zdradą hasła autonomicznego, to zapominają, że gwarancję mamy w czemś innem: toć zdracę ideałów narodowych wyborcy napotkaliby kamieniami przy rogatkach, gdyby śmiał bezczelny powrócić!“

Najnieszczęśliwszy naród.

(Dokończenie).

Wszystkie te objawy sympatii są bądź co bądź platoniczne — to prawda. Kongres Stanów Zjednoczonych nie uchwalił i zapewne uchwalić nie mógł żadnej akcji na rzecz uciśnionych w Prusiech Polaków. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że owe czysto moralne zwycięstwa nasze, a porażki naszych gnębieli są bez znaczenia, że nie mogą się jeszcze z czasem okazać realną potęgą w zapasach sił decydujących o losach narodów.

Z drobnych lecz licznych źródeł uczuć indywidualnych, przechodzących w uczucia zbiorowe, wzbiera w odpowiedniej chwili wielka fala żywiołowego wybuchu. Ta fala zmiecie czasem dzisiejszą potęgę niemiecką w jej obecnej, odrażająco brutalnej postaci. Wszystkie dziś tryskające strumyczki już ją zwolna podmywają.

Cios ostateczny — le coup de grâce — przyjdzie z zewnątrz lub z wewnątrz.

Na zewnątrz już z dawna zbiera się czarna chmura, z której lada chwila piorun upaść może. Niemcy nie mają przyjaciół. Nie zamaskują tego faktu żadne gładkie dyplomatyczne, stereotypowe słówka o „jaknajlepszych stosunkach ze wszystkimi mocarstwami“. Tradycje bismarkowskiej polityki krwi i żelaza dziś całym ciężarem spadają na barki mężów znacznie słabszych, którzy już ani ich dźwignąć, ani się z nich otrząsnąć nie umieją.

Wszystko to, co dziś w Europie więzi i krępuje swobodny rozwój ludów, ich dążenia do rysującego się już na horyzoncie, a jeszcze nieziszczalnego jutra — jest właśnie dziełem polityki prusko-niemieckiej. Pokój zbrojny i militarystyczny

doprowadzony do ostatnich granic możliwości, hakatyzm tłumaczony na różne języki i wytwarzający stan rzeczy, w którym naród jest narodowi wilkiem, ubóstwienie Molocha państwowości i wszechpotęga racji stanu, tłumiąca wszelkie względy na publiczne dobro — oto żelazne rygle, które sprusaczone Niemcy zaparły wrota do lepszej przyszłości. Już dawały się słyszeć w prasie zagranicznej głosy, że Niemcy są dla Europy stałym niebezpieczeństwem. Do czasu wobec niebezpieczeństwa uchodzić może polityka strusia, lecz przyjdzie kiedyś chwila, gdy głowy wynurzą się z piasku, spojrzą niebezpieczeństwu w oczy i wezmą się z niem za bary. Oto położenie zewnętrzne.

I na wewnątrz również można w bliskim czasie przewidzieć początek końca. W państwie bojaźni bożej czuć zgniliznę. Dobrze rentujący się patriotyzm, tani a popłatny, wywołał korupcję. Karjerowiczowstwo i kramarstwo tak opanowało wszystkie dziedziny życia, że wartość idei mierzy się jej ceną handlową. Tak jak od izby panów rząd kupił nietykalność własności, — od parlamentu niemieckiego po dłuższym targu kupić może wolność i równość. Sprawiedliwość dawno już przehandlowano. Tomy zapłacić by można faktami dowodzącymi, że niema już „sędziów w Berlinie“.

Taki stan rzeczy, trwając dłużej i wzmagając się, wywołać musi w końcu w każdej lepszej, uczciwszej jednostce obrzydzenie względem całej już zagniętej części narodu. Nastanie epoka silnych starć wewnętrznych, a dziś już baczne ucho pochwycić może cichutki, stłumiony pomruk nadciągającej burzy.

A może tego wszystkiego nie będzie?

Może zamiast niebezpiecznych wstrząśnień odbędzie się spokojna ewolucja. Może lewica parlamentarna wytrwa w zasadniczej opozycji przeciw legalizowaniu krzywdy Polaków, obali siódmy paragraf ustawy o stowarzyszeniach, ukróci władzę junkrów i hakaty, przeobrazi ustrój polityczny państwa w duchu demokratycznym, a ująwszy władzę w rękę zwróci politykę Niemiec na inne tory i zażegna wiszącą nad nimi burzę?

Byłoby to dla nieszczęsnego, w przepaść katastrofy toczącego się narodu ratunkiem.

Niestety — a mówię to z punktu widzenia Niemki, nie Polki — jest to bardzo, a bardzo wątpliwe. Miarą fatalnego za-

ślepienia jest ów termin 20-letniej zwłoki w zastosowaniu paragrafu językowego.

Za lat 20-cia ma już nie być Polaków w Poznańskim?! Mają pod naporem germanizacyi zniknąć ci, co na Górnym Szlaku odrodzili się po 600 latach?! O naiwności polityczna, układająca program działania na okres dwudziestoletni, gdy już najbliższe trzy lata zmienić mogą i teren i warunki działania i same czynniki działające. „Każdy dzień ma swoje troski” — panowie Niemcy, niesłusznie wolnomyślnymi zwani. Myślcie o dniu dzisiejszym, a troskę o to, co będzie za lat dwadzieścia zostawcie synom waszym, którzy staną z wami twarz w twarz i niewątpliwie burzyć będą, coście wy zbudowali, palić będą to, coście czcili, a czcić to, co wy w ogień rzucacie!...

I. Moszczeńska.



Kobieta jako ofiara i bojowniczką w ruchach politycznych.

Dokończenie.

V.

Młot na czarownicy r. 1873 r. Walka przeciw studentkom rosyjskim. Wpływ polski na kobiety rosyjskie.

To zdumiewająco szybkie kielkowanie ziaren rewolucyi — przeraża rząd. Aleksander III zasiadł na tronie pod złowrogim wrażeniem katastrofy 1 Marca. Od pierwszych dni nowego panowania na sztandarze rządowym wypisano jeden wyraz: reakcja! Przedsiębrano wytępienie mikrobów rewolucyjnych. Cenzura chwytła atom myśli nielegalnej między wierszami. Prasa ujęta w kleszcze tysiąca ograniczeń. Organizuje się na nowo i sprzęga miłośnie policja jawna i tajna. Zaturkotały koła wzmocnionej i nadzwyczajnej ochrony... Wszystko to nie wystarcza: Ziarna rewolucyi rosną wciąż z umajonego krwią gruntu!

Wtedy monarchia rosyjska uznaje systemat „absolutyzmu oświeconego” za zbyt ciężki na jej barki. W r. 1887 Aleksander III kładzie na referacie hr. Deljanowa słynną rezolucję:

— „Przerywaj oświatę!” (Prekraszczaj obrazowanie).

Ale właściwie rezolucja ta była spóźnioną. Przerwaniem wykształcenia męskiego było już przed 15 laty zwycięstwo usypiającego myśl Tołstojowskiego systemu klasycznego. Przerwaniem żeńskiego był komunikat rządowy z dn. 21 Maja 1873 r. — dokument dowcipnie porównany przez Amfiteatrowa do średnio-wiecznego „Młotu na czarownicę” — skierowany przeciw studentkom rosyjskim w Zurychu.

W tym oryginalnym dokumencie rząd wobec całego świata oskarżał wykształcone kobiety swego kraju — opierając się na świadectwie... gospodyni umeblowanych pokoiów, Marty Schwerdlein (!), porównywał studentki rosyjskie do prostytutek, imputował im studia nad akuszerją jedynie w celach operacyi abortowych — decydował się położyć kres „złemu, którego nie okupią 2 lub 3 dyplomy doktorskie” — i wydawał sobie odpowiednio uroczyste a literalne świadectwo: „ponieważ jesteście państwem, pozostałem w tyle za Europą”.

Przez całe ćwierćwiecze, miły oddech tego dokumentu oddziaływała na publicystykę i beletrystykę rosyjską tej strefy, której błogosławią Meszczerskij, Burenin, Lieskow, a która, pod pozorem piastowania świętych ideałów rodzinnych, spotwarza cały ruch kobiecy, karykaturuje go bezmyślnie, opluwa najcyniczniej niemal aż do dni ostatnich — stawia pręgierze, pod którymi dumnie przechodzą kobiety rosyjskie, bojowniczkami i ofiary... Mimo tysiącznych przeszkód, po jednym ledwie dziesiątku lat otwarcia medycyny kobietom, cesarstwo rosyjskie około roku 85-go posiada 250 doktorek, kształconych za granicą, gdy w tym samym czasie mamy jedynego lekarza-kobietę, Tomaszewicz Dobrską, co już serce Orzeszkowej napełniło radością i wiarą w to, że u nas opinia publiczna nie jest przeciwną ruchowi kobiecemu — wiarą, której jaskrawo zaprzeczyły świadectwa prasowe ostatniej chwili!.

Z istniejącego studjum Amfiteatrowa o „Kobiecie w społecznych ruchach rosyjskich” zaczerpnę nieco ciekawych danych o wpływie inoplemiennym na kwestję kobiecą w Rosyi. Wpływ ten stoi w związku z polskimi ruchami wolnościowymi i z dążeniem żydów do równoprawnienia.

„Polski wpływ na kobiety rosyjskie wyraził się bardziej abstrakcyjnie — jako przykład nieznużonej dążności narodowej do wolności”.

Rzecz ciekawa: pierwszy proces rosyjski, w którym bierze udział kobieta — podsądna — to proces Woźnickiego z córką w r. 1855: za rozrzucanie w guberni Tambowskiej proklamacyi o odbudowaniu niepodległej Polski.

„W r. 1863 — twierdzi Amfiteatrow — wykształcone kobiety rosyjskie, jak i większość ówczesnej inteligencji, stały moralnie po stronie Polski“. Niektóre pomagały powstańcom nie tylko myślą i słowem, lecz i czynem. Mowa tu nie o rycerskiej Annie Pustowojtowej: ta była polką z matki, polskie otrzymała wychowanie, obracała się wciąż w towarzystwie polskiem — jako Polka znalazła się w sztabie powstańczym. Ale były też w obozie polskim rosjanki pełnej krwi, jako siostry miłosierdzia, były rosyjskie kobiety światowe, zbierające fundusze dla powstańców. Wszyscy patryoci-powieściopisarze i kronikarze tej epoki, jak Lieskow, Krestowski, Wsiewołod, Kliusznikow, z krzykiem oburzenia konstatują ten fakt...

„Ważniejszym od tych faktów pojedynczych — mówi publicysta rosyjski — był udział serdeczny i współczucie, z jakim kobiety-rosjanki spotkały polskich szermierzy po proskrypcjach Murawjewa pędzonych na daleki wschód...

Wpływ zesłańców-polaków na inteligencję rosyjską datuje się jeszcze od epoki Katarzyny, ale sięga szczytu napięcia po r. 63-im. Uczniów a zwłaszcza uczennice polskich kolonii zesłańców odnajdujemy w tej „młodej Syberyi“, która stale pojawia się na przednich placówkach w godzinie każdego ruchu wolnościowego w Rosyi.

Utalentowany pisarz rosyjski przypisuje ważny wpływ kulturalny mieszanym polsko-rosyjskim małżeństwom. Twierdzi, że matki-polki dały Rosyi wielu wartościowych synów.

Nie mamy w tej kwestyi żadnego zdania. Jest nam ona obcą, bo nie znamy faktów odnośnych. Zresztą znamy jeden jedyny — a ten, to musimy przyznać, jest nader wymowny: ten świadczy na korzyść tezy Amfiteatrowa.

Matka poety Niekrasowa była Polką.

VI.

Matka Niekrasowa — Polka.

Na ten temat słów kilka — bo nie był on dotąd poruszany ze strony polskiej. Zdawał się drażliwy i bolesny. A jednak czas milczenie przełamać. Czas z odleg-

łości przeszło osiemdziesięciu lat spojrzeć obiektywnie na czyn i los nieszczęśliwej Zakrzewskiej, zrozumieć ją i wybaczyć. Gniew narodu na córkę swoją, która wyszła za mąż za oficera z narodu zwycięzkiego — nie może być wiecznotrwały w takich oto warunkach:

Błąd szaleńczej swojej miłości, błąd młodej zapalnej krwi, błąd oczu, oczarowanych piękną postacią „armejca“ — opłacała całym życiem męczarni. Pamiętajmy zresztą, że zapal polskiej Desdemony dla białego Otella o duszy czarnej nosi datę z przed pierwszego powstania, z r. 1824.

Kiedy łuska miłości została brutalnie zdarta z jej oczu, odkryła w mężu — zwierza, dzikiego i pijanego, rozpustającego wśród czeladzi dworskiej, okrutnego ciemiężyciela. Życie jej stało się krzyżową drogą...

Nadomiar odkupiła błąd wielkim darem, wielkim dla Rosyi, znacznym dla literatury wszechświatowej, ważkim pośrednio bodaj i dla nas. Wynosiła w swoim łonie polskiem pierwszego poetę, który łączy i tęsknotę ludu rosyjskiego do „woli“ zamknął w melodyjnej pieśni literackiej, zażądał dlań głosem potężnym wolności, obok wykwintnie-lekkomyślniej Muzy Puszkina i dumnie-egotycznej Muzy Lermontowa stanął z mniej estetyczną, ale z wpływową społecznie „Muzą gniewu i smutku“ i wstrząsnął sumieniami paru pokoleń młodzieży...

W spuściźnie literackiej Niekrasowa jest wiersz cudowny — p. t. „Matka“. Opowiada tu poeta, jak błądzi po śmierci rodziców po opustoszałym ogrodzie domu rodzinnego. Nocą majaczy przed nim cień matki. Stapa, jak żywa. W ręku trzyma poźółkły list. Czyta go i oblewa łzami. List nosi ślady setnych łez...

Ten list — prawdziwy dokument z życia — dostał się w ręce poety. Niekrasow cytuje go. W tym liście matka wyrzuca córce bolesny skandal: „dałaś się pociągnąć przez pięknego dzikusa (krasowyj dikar') — uciekłaś z oficerem armii rosyjskiej — nas, rodziców swoich, zrobiłaś pośmiewiskiem, baśnią Warszawy. Ty, której ręki dobijało się tylu świetnej młodzieży!..“ Lecz po wybuchu gniewu bierze górę żalność matczyna: „Co dzieje się z tobą? Pisz! Nie śpiam z niepokojem. Gdy zasnę, dręczą mnie złe sny. Dziś nocą śniłam, żeś zasypana przez śniegi tego obcego, dalekiego kraju... zmarznięta leżysz przy wygasłym ognisku... a psy rozdzierają twoje ciało...“

Potęzną jest odpowiedź, którą matka Niekrasowa daje matce swojej. Czy ta reminiscencja poety jest zupełnie prawdziwą? — Może maluje myśli samego poety... Nie, zdaje się odbijać to, co czuła jego matka... co miała prawo czuć, porównując myślą gdzieś w głuchej wsi nowy dla niej byt rosyjskiego chłopca, podeptanego do cna przed dobą uwłaszczenia, z życiem autonomicznego naówczas Królestwa... Odpowiada ona swojej matce:

Nieszczęsną jesteś ty, ojczyzno moja...

Wiem... Cięży nad tobą stopa zaborcy...

Ale kraj, w którym żyję i umieram — Nieszczęśliwszy jest po tysiąc razy!

Postać matki Niekrasowa rośnie. Z wyznań poety wiemy, że to jej wpływ zapalił w nim miłość dla arcydzieł Szekspira, natchnienie poetyckie, uwielbienie ducha wolności. Ta ofiara—cicha bojowniczką domowego życia—potęgą duszy swej dokonała tyle, że po lat dziesiątku skruszony wstydem padł do stóp jej mąż, odrodzony moralnie... Zwierz przerodził się w człowieka..

Ta Polka swoją potęgą moralną, wykwitłą z cierniów błędu, wychowała duszę syna, wyhodowała w niej wszystko dobre — zatrzymała w możliwej mierze posiew dzikich wpływów ojcowskich i otoczenia, rozwój złych nasion dziedzicznej natury — wypiastrowała Niekrasowa — poetę wolności!

I może to dalekie echo jej pracy i jej miłości brzmi w dzisiejszym słowie wychowanego na Niekrasowie Amfiteatrowa, gdy pisze:

„Sprawą *wolnej Rosji* winno być zrozumienie wolnej Polski — sprawą *wolnej Polski* będzie podanie bratniej ręki wolnej Rosji!”

A czy można to lepiej sformułować?!

VII.

Rosjanki w ruchach wolnościowych Europy. Współczesne żydówki. Odrodzona kobieta. Wskrzyszona Judyta. Urastająca Tatjana. Prze-rodzona Anielka z „Bez dogmatu“.

Wolnościowe ruchy w Rosji — dowodzi ten sam pisarz — ożywione są zawsze ideą demokratyczną i ideałami braterstwa ludów. Niema ruchu wolnościowego na całym świecie bez udziału rosjan... Może to jakaś rekompensata wrażliwych sumień za czasy Pawła, za r. 1849 za inne podobne... Nieśmiertelny cień Bakunina jest typowym w rewolucji rosyjskiej... Na głos tego cienia, wzywającego do powszechnej wolności zbratanych ludów,

kobiety rosyjskie biegną bodaj ochotniej od mężczyzn...

Rosjanki — siostry miłosierdzia przeżywały rany żołnierzom Garibaldiego i powstańcom Hercegowiny. Na barykadach komuny walczyła Korwin-Krzkowska (Jaclard). W powstaniu Medjołańskim 1897 r. przewodziła w organizacji socjalistka rosyjska, kobieta-doktor Anna Kuliszowa.

Na tem tle demokratyzmu i kosmopolityzmu natury rosyjskiej — zrozumiałem jest przyjacielskie zbliżenie się kursistek rosjanek i żydówek na stopie zupełnej równości. Wbrew okropnej wymowie masowych przestępstw na żydach, antysemityzm — zdaniem Amfiteatrowa — nie jest chorobą organiczną rosjan, a zwłaszcza rosjanek: jest złem przejściowym, jest wstrętną czkawką historyczną, budzoną drażniącymi palcami polityków — Ignatjewych i Plehwy.

Po pogromie kiszyniowskim głęboki wstyd pokrywa całą myślącą Rosję. Dziesiątki tysięcy rosjan, dotąd obojętnych na sprawy polityczne, przejrzało i dało sygnał do okrzyku bólu i energii: „dłużej tak żyć niepodobna! tak żyć—to hańba!”

„Do rosyjskich sił kobiecych wniosły towarzyszki-żydówki swoją wrażliwość, czułość, płomienny i uporczywy temperament społeczny. Rosyjska wykształcona żydówka jest zazwyczaj entuzjastką rosyjskiego postępu socjalnego. Ztąd zrzadka poddaje się kuszącym wpływom własnego narodowego ideału—sjonizmu“.

Historja rewolucji rosyjskiej — konkluduje utalentowany pisarz rosyjski — w niedługiej swojej przeszłości liczy tyle ofiar żydowskich za sprawę rosyjską, że mogilnemi kurhanami żydów możnaby zastawić całą drogę od Paryża do Petersburga. Klasyczna teza ochrony petersburskiej, że „rewolucję robią żydzi“ brzmi jako zbyt różowe samopocieszenie, ale to pewna — powiada Amfiteatrow — że rosyjska walka o wolność bez współdziałania energii żydowskiej słaby tempestem powolniejszem. Dopiero łącznia dwóch temperamentów plemiennych uczyniła tę rewolucję giętką, żywotną, bezsenną. Pierwiastek żydowski — to drożdże, które podnoszą bogate opary utalentowanej rosyjskiej ociężałości („obłomowszczyzny“).

Tu dodam coś o nas...

Cokolwiek czuje się i myśli na dwóch odmiennych biegunach nacjonalistycznych linii psychologicznej, karykaturalnie rozdłużonej w momencie rozdrażnień wybor-

czych, z winy nierozumu fanatyków *dwu stron*—dla każdego obiektywnego i sprawiedliwego badacza, który sądzi życie nie ze świstków ulicznych, lecz z wielkich dokumentów dziejowych, mierzy je wielkimi okresami stosunków ludzkich, a nie okrzykami zirytowanej chwili, jasnym jest, że u nas jest jeszcze mniej antysemityzmu *sale sang*, niż w cesarstwie, gdzie schyłek XIX stulecia ukazuje rozprute i napchane pierzem trzewia żydowskie i oczy wyklute gwoździami chuliganów Kiszyniewa... I u nas także na niwie pracy społecznej drżąca gniewem i bólem ręka odrodzonej żydówki spotyka się w przyjaznym uścisku z ręką oburzonej i bolejącej Polski...

Powiadam: odrodzona żydówka — bo era wielkich zaczynów społecznych ujrzała cud: ujrzała pod wiekową stęchłą kłatwą ghetta pulsującą naraz krew Machabejską i z niwy głów tarzających się w pyle poniżenia ujrzała podnoszące się przez opar krwi, przez kurzawę łez, groźne czoła Judyt...

Usłyszały one bicie godziny dziejowej... godziny przerożeń...

Już na całej przestrzeni, „od fińskich chłodnych skał do płomiennej Kolchidy, od wstrząsnionego Kremla do murów nieruchomych Chin“, dawna Tatjana Puszkina, mężna wołą w życiu prywatnym, ofiarna w ważkiej sferze obowiązków domowych, wychodziła na szerokie niwy społeczne stosować swoje męstwo, poczucie obowiązku i zdolność do poświęceń i siał ziarna wolności...

A jako umierał Gustaw, aby urodził się Konrad, tak umarła Anielka — ofiara nie bezdogmatyzmu Płoszowskiego, ale przesądów swojej sfery i swego czasu, cicha i korna, tak czysta i święta, że nie splamiły jej nawet pieszczoty niekochanego męża, najbardziej polski z typów kobiecych, piękna w swojej odpornej cności i w swoim nieszczyście — umarła, nie zaznawszy szczęścia i miłości, umarła, aby dać miejsce nowym polskim kobietom, które przez szczęście ludu dążą do szczęścia kobiety, przez podniesienie kobiety na wyżyny myśli do podniesienia narodu na wyżyny ideału...

VIII.

Zakończenie. „Siłaczka“ Żeromskiego. Joasia z „Bezdomnych“. Testament Mickiewicza. Początek zmartwychwstania.

Mówiłem wam o wczorajszych kobietach rosyjskich... Czy ma takie Rosja dzisiaj?... Czy my mamy takie?...

Odpowiedzą wam na to krwią poplamione bruki uliczne, odpowiedzą kroniki sądowe, odpowiedzą podziemia nieustannej pracy społecznej nad oświatą ludu, odpowie jutro historia... odpowiedzą mroźne drogi do tajgi, na których zmarła 20 lat temu Marja Bohuszewicz i Róża Felsenhardt i wędrowała Plaskowidzka do mogiły w Krasnojarsku.

Dzisiejsze kobiety są jeszcze bezimienne...

Ale już wydobyły się na jaw niektóre imiona męczeńskie w Cesarstwie... A i my musimy posiadać takie, bo zkażdy zaczerpnął pomysły swoje genialny Żeromski — do Siłaczki i do Bezdomnych...

Nie umarliście przecie wszystkie gdzieś w zakątku, wśród biedy chłopskiej, bez opieki, strawione nędzą i gorączką fizyczną i większą gorączką ducha, wy, biedne Siłaczki — nauczycielki, które ciężka dola przewraca i spycha w grób... Pracujecie w pocie czoła nad oświatą umiłowanego ludu dla rozbrasku dnia jutrzejszego — dnia wolności...

A ty co robisz, biedna i mężna Joasiu z „Bezdomnych“, która wyrzekłaś się szczęścia osobistego, słodczy miłości i uciech macierzyńskich, dopóki są nieszczęśliwi, którzy ciebie potrzebować mogą?...

Joasiu, gdzie jesteś? co robisz w dzisiejszej chwili mąk i walki?!

Na barki kobiety polskiej, matki-Polki włożył testament Mickiewicza już od pierwszej ćwierci minionego wieku najtragiczniejszy, najcięższy obowiązek względem własnego dziecka, celem przygotowania go do jego przyszłych losów.

Wcześniej mu ręce okręcaj łańcuchem,
Do taczkowego każ zaprzęgać woza,
By przed katowskim nie zbłądął obuchem,

Ani się spłonił na widok powroza...

Bo choć w pokoju zakwitnie świat cały,
Choć się sprzymierzają ludy, rządy, zdania,
Syn twój wezwany do boju bez chwały
Ido! męczeństwa bez zmartwychpowstania.
Zwycięzonemu za pomnik grobowy
Zostaną suche drewna szubienicy,
Za całą sławę krótki płacz kobiecy
I długie noce rodaków rozmowy...

Spełniały ten ciężki obowiązek matki-polki, w mniejszej lub większej mierze — nie mogły go spełniać całkowicie, bo był zbyt surowy dla jednostek-matek i nakazany zresztą tylko wobec dzieci, którym „w żrenicach błyszczy geniuszu świetność a z czoła patrzy dawnych Polaków duma i szlachetność!..“

Lecz ten obowiązek wypełniła surowo cała ta matka-ziemia względem wszystkich dzieci, które umiały czuć ciężar kajdanów na rękach i tęsknić do wolności — i nie godzić się w chwili, gdy kwitnął w pokoju świat cały — a dlatego — i tylko dlatego następuje dziś *smartwychwstanie!*

Profesor Baudouin de Courtenay.

Czy profesor B. de C. ma katar?

Dotknięty mocnym „petersburskim katarzem” profesor B. de C. przyjechał do Warszawy z Petersburga, ażeby na temat „porozumienia się ludów słowiańskich” dowodzić, że nonsensem jest uczucie narodowości i szerzyć propagandę beznarodowości.

„Głos Warszawski” № 35.

A mnie jest zupełnie wszystko jedno, czy profesor Baudouin de Courtenay ma słuszość, czy jej nie ma.

I kiedy mówi o niemożliwości porozumiewania się *ludów* słowiańskich, to w momencie, kiedy go słucham, wszystko mi jedno, czy ma słuszość, uważając ludy za nieświadome stada dwunogich, nie posiadające przedstawicieli prawomocnych do porozumiewania się w ich imieniu.

Wszystko mi jedno, czy ma słuszość, twierdząc, że wobec rozbieżności w Słowiańszczyźnie wspomnień historycznych, nastrojów psychologicznych i interesów narodowych — samo podobieństwo języków słowiańskich nie stanowi gruntu dla porozumienia się narodów.

Wszystko mi jedno, czy słusznie, czy niesłusznie wskazuje nikłość podstawy rasowej dla porozumienia się wobec braku „folblutów słowiańskich”.

Wszystko mi jedno, czy cokolwiek myli się, czy też ma słuszość zupełną, przeocząc, że przedstawicielstwo samozwańcze wśród ludów nieurządzonych konstytucyjnie jest zjawiskiem historycznie normalnem — pesymistycznie zamykając wrota marzeniom o jutrze kluczaniami dzisiejszych nastrojów — deprecjonując możliwość zarazy uczuciowej choćby na tle tak wybornie ośmieszzonej przezeń miłości wszechsłowiańskiej.

Wszystko mi jedno, czy ocenił już wszystko, skoro trafnie ocenił, że idea miłości wszechsłowiańskiej pokutuje za-

zwyczaj w głowach w chwili, gdy prusak smagnie biczem słowianina, albo reakcja rosyjska schwyty za gardło ideę indywidualizmu narodowego.

Nie mam wcale zamiaru wskazywać mu, że ironia historyczna zna setne przykłady uczuć dobrowolnych z genezą przymusową — że ocena genezy wczorajszej nie jest oceną wpływu na przyszłość — że racja myśli jutra przeciwstawia się nieraz racji uczuć dzisiejszych — że skoro on sam uznaje istnienie pewnej liczby szczerych patriotów słowiańskich, to wolno przypuszczać zdolność promieniowania na masy uczuć Aksakowa czy Duchińskiego, gdyby... twarde warunki pewnego systemu politycznego nie stały tamy dobrem uczuciom jednostek i ich wpływom na ludy.

Powiadam: *to mi wszystko jedno* — dla tego, że podczas odczytów Baudouina de Courtenay jest coś ciekawszego, niż wszelki temat, którego prelegent dotyka, ciekawszego, niż nawet sprawa porozumienia się ludów słowiańskich!

Tem czemś — ciekawszem, piękniejszym, szalenie zajmującym, czemś, co przyjmuje się duszą szczerze wrażliwą, nie przegniła w atmosferze politykomanii, nie zarzewiała w zaduchu szowinizmu, czemś imponującym pięknem, z czem nie wchodzi się w spory — jest sam *człowiek*, prelegent, profesor Baudouin de Courtenay.

Bowiem zdumiewającym jest i zaszczytnem dla polskości, że mógł wbrew wszelkim nieprzyjaznym warunkom od góry, od środka i od dołu, uchować się pośród nas w niezmaconej czystości człowiek, który nikomu nie pochlebia — jest jednakowo skromnie-wyniosły wobec reakcji i rewolucji, z zupełnym spokojem patrząc w oczy publiczności wypowiada najniepopularniejsze zdania, idzie poprostu przeciw prądowi i wichrom gotów jest stawić czoło, wypowiada nieubłaganą walkę wszelkiemu fanatyzmowi i tylko na jednym punkcie sam jest fanatykiem — w swojej fanatycznej nienawiści dla wszelkiego fanatyzmu.

Przedziwnie zajmującą jest dusza tego człowieka, tak odpowiadająca zewnętrznie ostrym pozorom jego twarzy — bo w zgrzytach myśli swoich na pozór złożona z surowych kantów, a przecie... pod szorstką i zimną maską racjonalizmu, wyrzekającego się publicznie wszelkich sentymentów, ukrywająca *miłosne* poszanowanie godności ludzkiej, potężne i płomienne, jakkolwiek czcigodny profesor z głębiem przekonaniem

podaje je tylko za chłodny wywód rozumu logicznego.

Przykuwa uwagę indywidualna synteza tego umysłu, która spaja i stapia idee w pojęciu ludzi małych niemożliwe do pogodzenia: zupełną *deprecjację wszelkich uczuć zbiorowych* na korzyść godności jednostki, a więc spostonowanie przez analizę nawet uczuć patryjotycznych, i *superprecjację wszelkich uczuć zbiorowych* przez prawomocność samookreślenia się każdej jednostki i zrzeszania się jej z podobnemi sobie, a więc podniesienie przez syntezę uczuć patryjotycznych.

A to właśnie przez ludzi... bez nosa nazwanem zostało katarzem petersburskim!

Jakże zabawnym wydaje mi się daltonizm ludzi maluczkich, którzy nie są w stanie podnieść się w zbyt chłodne dla nich ale bliższe słońca prawdy regjony abstrakcyjnej myśli profesora B. de Courtenay'a, którzy widzą w nim potwornego rzecznika kosmopolityzmu, deprowatora dusz ludzkich — kiedy na zasadzie tego samego wykładu należałoby raczej uznać prelegenta za obrońcę wszelkich szczerych i szlachetnych uczuć patryjotycznych i poszanowania uczuć narodowych.

Bo i któż miałby prawo uważać za chłodnego ojczyzna takiego ojca, który nie bawiąc się z dziećmi, bo mu na to jego dojrzałość i powaga jego zajęć nie pozwala, powiadałby im: bawcie się dzieci, jak się wam żywnie podoba, jeno nie kłóćcie się, jeno niech żadne nie niszczy drugiemu jego zabawki, bo wszystkie zabawki, zależnie od gustu, są jednakowo dobre.

Toć - że żaden patryjota, kochający swój kraj, język, literaturę, obyczaje, naród, nie mógłby się skarżyć, gdyby taka moralność była panującą.

Ci, co tak wściekle wyrzucają szlachetnemu profesorowi, że propaguje cynicznie beznarodowość, że cyniczniej jeszcze rozgrzesza ludzi czujących „podwójnie - narodowo“, nie rozumieją tego, że ma on na myśli bynajmniej nie tych, którzy jednako zimno kosmopolitycznie zachowują się względem różnych narodów, ale tych, którzy szerokim umysłem i wielkiem sercem są w stanie objąć i pokochać różne kultury.

Profesor B. de C. jest wróżbitą zjawienia się, być może na zawsze rzadkich tylko, dusz ludzkich nowego typu, ludzi-buforów, których zadaniem będzie pośredniczyć pomiędzy skłóconemi narodami i usuwać pomiędzy niemi starcia.

Mali krytycy profesora B. de C. nie wiedzą o tem, że nienawiść pomiędzy różnemi narodami, od której cierpią wszystkie, a najwięcej cierpią najsłabsze i najmniej liczne, da się usunąć tylko przez wzajemne rozumienie, że początek zrozumienia jest już rodzajem psychologicznego współczucia i początkiem miłości.

Nosicielami jej są ludzie-bufory, którzy mądrą myślą stają między narodami.

Cześć profesorowi B. de C., że należy do tych typów i cześć tej publiczności, która potrafiła z poszanowaniem wysłuchać niepopularnych poglądów prof. a oceniwszy ich szlachetne pobudki, ich sięgnięcie w wielką dal przyszłości—czy godziła się z nim, czy nie godziła zgatowała mu wdzięczną owację.

Z cyklu: „NA SZCZYCIE“.

...W nic nie wierzę na świecie. Żaden żywszy promień
Nie ma już do mej duszy ponurej przystępu,
Wszystkie żarne upoje ekstaz, oszołomień
Na karm rzuciłem zwątpień krwiożerczemu sępu.

I dzisiaj w nic nie wierzę. Bo wszystko, w com wierzył,
W com wierzyć chciał i pragnął, było tylko złudą,
Było tylko omanem, co ducha łupieżył
I zabijał w nim wolę, każąc wierzyć — cudom.

I poszedłem w świat z sercem złamanem i chorem,
Burzycielskich dociekań trawiony gorączką,
Wlec żywot opuszczenia jałowym ugorem
I piękno czcić, oddane pod straż róży pączkom.

Wciąż goniąc za poznania Wszechrzeczy ognikiem,
Z bezwzględnością i butą szaleńca drapieżczą,
Szukałem przyczyn Złego, skrytych kłamstw tajnikiem,
Chcąc wiedzieć, czym są w życiu i kędy się mieszczą.

I zbadałem, lecz pierwszej cały ten gmach wielki,
Który ludzkość zwać zwykła Dorobkiem stuleci
Musiałem unicestwić w sobie... jednej belki
Nie zostawiwszy całej... Dziś tam ruń się kwieci.

I odarłem świat z onej mistycznej legendy,
Na wszystkim swą zdobywcą postawiłem stopę:
Bogom niebios-a-m wydarł, ich moc i obrzędy,
I za bary się wziąłem z Przesądów cyklopem.

I dzisiaj w nic nie wierzę. Choć w okół, gdzie spojrzę,
Przelewa się prąd życia wezbrany i wartki
I pianą urągowisk bryzga w oczy Mojrze
I zatapia praw ludzkich tablice, jak kartki.

A przedemną zaś staje świat w czarów ozdobie:
Wiosenny, cichy wieczór purpurą się luni —
Chwasty dzikie czas posiał na mych marzeń grobie —
I jestem tak szczęśliwy, jak ty, Sakyo-Muni.

Henryk Wroński.



Polak o litwinach.

(Michał Romer. Litwa. „Stydium o odrodzeniu narodu litewskiego“. Str. 438. Lwów.

Zacnę od przytoczenia paru zasadniczych, uogólniających zdań autora, ażeby czytelnik odrazu dowiedział się, z kim ma do czynienia w osobie p. Michała Romera.

„Historja sama przez się nie stanowi podstawy do praw współczesnych; przeszłość historyczna o tyle tylko jest brana pod uwagę przy określeniu praw, o ile się wyraża w żywych stosunkach współczesnych, o ile się w nich streszcza. Prawa narodów wypływają z ich potrzeb i z ich ewolucyi współczesnej, które są owocem przeszłości historycznej. Przeszłość zaś, jako taka, nie streszczona

w życiu obecnem, podstawą do praw nie jest“ (str. 430).

„Gdy chodzi nie o filologiczny podział terytoryum, lecz o jego budowę polityczną, czynnik językowo-etnograficzny nie może być bezwzględnie jedyny, należy ująć taki kraj, który kulturalnie i ekonomiczno-społecznie będzie przedstawiał jakiś całokształt“.

„Odrodzony naród wcześniej czy później przestanie się mieścić w organizmie państwowym w postaci biernej i zechce się stać żywym czynnikiem jego; odrodzony naród musi się stać bądź czynnikiem państwowości obcej, czynnikiem separatyzmu i rozsadzania państwa zewnątrz, bądź też czynnikiem takiej reformy polityczno-państwowej, w której państwo będzie musiało być przebudowane na zasadach współczynności jednostek

narodowych, t. j. na zasadach federalistycznych. Odrodzenie i formacja narodu kulturalnego w granicach państwa obcego, nie może nie być zjawiskiem politycznym; naturalnem zakończeniem formacji narodowej musi być idea własnej państwowości, czy to w postaci niepodległości zupełnej, czy też chociażby w postaci autonomicznej“.

Czytelnik, co nie oddawał się specjalnie studjom prawnopolitycznym i społeczno-ekonomicznym we *współczesnym* tychże zakroju, raczy łaskawie zatrzymać się myślą na przytoczonych zdaniach p. Romera, albowiem aby dojść do nich potrzeba *prius discere* bardzo poważnie w dziedzinie państwowstwa, *deinde vivere* w środowiskach z wysoce rozwiniętem życiem politycznym, a ponadto być przez naturę uposażonym w dar spostrzegawczy, w zmysł krytyczny, w skłonność do natężonego romysłania...

A iluż my mamy w poczcie publicystów, ba nawet w gronach politycznej reprezentacji polskiej w Berlinie, Wiedniu i Petersburgu — ludzi łączących w sobie te przymioty?

Ileż wyroczni politycznych wyrosło i rozwieliżmożniło się w naszym społeczeństwie dzięki rzekomo głębokiemu i świetnemu uzasadnieniu hasła „Polska w granicach historycznych“ — „Polska w granicach etnograficznych“, jakkolwiek *obydwa* hasła przy zastosowaniu do *obydwu* analizy, w polityczną wiedzę współczesną uzbrojonej, *jednakowo* są apolitycznymi, w równym stopniu bezmyślnymi.

Obok tego, czyż licznymi wśród śmiatek naszej inteligencji (nie mówiąc już o ogóle) są osobniki, co we wszelkiem językowo-kulturalnem odrodzeniu lub narodzeniu wszelkich zbiorowości różnych pochodzeniem od przeważającej większości obywateli tego lub owego państwa, dostrzegły *nieunikniony* zarodek siły państwo-burzącej, kurczącej, lub w najlepszym razie podkopującej podstawy jego ustroju.

Domyśleć się łatwo, jakiej wagi, jakiej ceny byłoby dla nas posiadanie kontyngentu głów politycznych, co obdarzone świadomością p. Romera, potrafiłyby np. „wyrozumieć“, dla czego to np. nawet liberalno-demokratyczna Republika Francuska nie odczuwa zachwytnej radości, patrząc na postępy językowo-kulturalnego odrodzenia prowansalskiego lub bretońskiego? Wszak tylko przez „wyrozumiałość“ dochodzi się do *przewidy-*

wania, a w przewidywaniu przecież cały sens polityki, czyli sztuki rządzenia się, tak państwowego, jak narodowego i społecznego, nawet indywidualnego *).

Wyjątkową, bodaj czy nie odosobnioną, jedyną w tej warstwie, do której należy pan M. Romer, wyrozumiałością dla odrodzenia się litwinów tchnie cała jego książka. Sam autor stwierdza, iż „*nati et possessionati*“ polskiego pochodzenia, lub spolszczeni, a na Litwie rezydujący, widzą w owym procesie odrodzeniowym „chłopomaństwo“, szachujące „naturalną“, dziejowo usprawiedliwioną asymilację litwinów przez polaków, a w dodatku szkodzącą poważnie interesom wielkiej własności ziemskiej.

Należąc do rodziny, z której niejedyn członkowie marszałkowali na Litwie jeszcze niedawno, a tak z karmazynami miejscowymi skoligaconej, autor o wybitnej wiedzy i przenikliwości, złożył jeszcze swym studjum dowód odwagi cywilnej nielada.

Wreszcie książka jego jest wyczerpującą, sumiennie napisaną *historją* całego przebiegu odrodzenia litwinów, jest pięknym owocem pracy człowieka, co znakomicie zna rzecz, o której pisze.

Jakże na dobre wyszłoby nam zjawienie się tejsze wartości historycznego obrazu odradzającej się Rusi.

Oby wypadkowa może okoliczność, iż nad wyraz cenne dzieło p. Romera wyszło we Lwowie (*Polskie* towarzystwo nakładowe), posłużyła miejscowym siłom czy to naukowym, czy publicystycznym, jako zachęta do podjęcia tak aktualnego zadania.

Weteran.

Przyp. Redakcyi.

*) Ona jedna — wyrozumiałość — uczy, co *musi* się czynić, dlatego, że inaczej *nie można*, a co *można* czynić, dlatego, że się *musi*; ona też ostrzega, czego *nie wolno* uczynić, jakkolwiek się *chce*, aby nie uczynić *mimo woli*; w skutkach tego, czego się *nie chciało*. Ona uczy *mądrego* i celowego *przeszkadzania* przez *delikatne poparcie* — i *oducza* od *głupiego* i *przeciucelowego poparcia* przez *szorstkie przeszkadzanie*. Ona zaciętych wrogów czyni przyjaciółmi, którzy myślą, że się jeszcze srożą na was, a już idą zawstydzeni — podać wam ręce. Ona wreszcie zamyka nasze własne pragnienia w sprawiedliwych granicach, abyśmy nie pokrzywdzili innych i cudzą krzywdą nie ściągnęli piorunów na własne głowy.

List otwarty Śmierdziela amerykańskiego.

Szanowny panie Redaktorze!

W № 20 Pańskiego poczytnego pisma znajduje się artykuł p. t. „*Czy śm.....?*) amerykański powinien ś.....ć*”, który to artykuł chętnie nazwałbym nikczemnym paszkwilem, gdybym nie był zmuszony zwrócić się do Szanownej Redakcji, z wyrażeniem głębokiego przekonania, że Szanowny Redaktor w imię prawdy i sprawiedliwości zechce ten drobny błąd, który wkraśl się przypadkiem do Jego pisma, skwapliwie sprostować.

Nazwałem wprawdzie ten drobny błąd nikczemnym paszkwilem, umieszczonym w nędznym świstku mianującego się redaktorem niejakiego Belmonta, ale jakkolwiek obszedłem większość redakcji pism codziennych w Warszawie, nigdzie nie chciano mi tego sprostowania umieścić.

Wprawdzie ściskano mi wszędzie serdecznie ogon, w kilku redakcjach całowano się ze mną z dubeltówki, w niektórych zaproszony byłem przez redaktora na obiad, ale od wydrukowania mego artykułu, pomimo kompletnej zgody na jego tendencje i ton uchylono się wszędzie.

Wyjaśniono mi mianowicie, że Szanowny Redaktor jesteś niebezpiecznym i nieprzyzwoitym człowiekiem, który przedsięwziął zgubną dla społeczeństwa akcję, przeciwko „*cuchnięciu wszystkich śm.....li w prasie i po za prasą*” i radzą mi z panem nie polemizować. Oni sami trzymają się tej metody, ponieważ *jedynym na Pana sposobem jest bojkot i żadne szanujące się śm.....ce pismo „Wolnego Słowa” dotąd nie wspomniało (bezpłatnie).*

Mając na względzie konieczność wyjaśnienia prawdy, z taktiką śm..... warszawskiej prasy zgodzić się nie mogę i woję uprzejmie prosić Sz. Redakcję pisma, „trzymającego wysoko sztandar wolności”, o sprostowanie drobnego błędu, który gdzieindziej nazwałbym „podłością świstka, nadużywającego nieocenzonej wolności słowa”.

*) „Wogóle słowo to — według prof. Słodkiego-Anonimowicza, ani w przyzwoitem piśmie, ani w przyzwoitej zoologii (zwłaszcza dla młodych panienek) nie powinno istnieć.” (Przypisek autora listu.)

Drukujemy niniejszy list nie zaopatrując go w żadne komentarze, ponieważ wiemy, że polemika ze śmierdzicielami nigdy nie ma końca.

Więc po 1-sze śm..... amerykańskie wcale nie śm....., posiadają tylko zdolność perfumowania rzeczy swoistym zapachem, do którego ignorancja i nietolerancja przyzwyczaić się nie mogły, a po części zwalczają go przez zazdrość.

Agitację przeciwko nam rozpoczął swoim nienaukowym dziełem zoolog niemiecki Brem, który zapomniał o święcie obowiązującej uczonego obiektywnej analizie faktów i pozwolił sobie nasze specyficzne wonienie nazwać bez żadnych dowodów rzeczowych cuchnięciem.

Po 2-e, jeżeli nawet zgodzić się na hipotezę agitatora-zoologa Brema, która z nauką niema nic wspólnego, że śm.....le rzekomo śm.....a, to należy uwzględnić ten fakt, że nigdy nie czynią tego bez powodu. Nie posiadając znacznych pazurów, jak tygrys, szlachetnych kłów, jak słoń, czcigodnych rogów, jak buhaj, możemy bronić się jedynie naszym swoistym zapachem, ale niedrażnieni nigdy nie wyrzucamy gryzących soków z siebie, i zachowujemy się zupełnie salonowo. Odwieczną cechą śmierdziela jest, że podczas gdy lew walczy na placu publicznym twarzą w twarz — odwagą *prawdomównych* a ostrych zębów, podczas gdy dzik szczerobiałymi kłami *sam jeden* broni się przed motłochem rozwścieczonych wilków, podczas gdy gadzina pełza pod stolikami indyjskich cukierni, syczy *oszczerczo* i kąsa jadowicie, pod szlachetnymi pozorami, opinię najuczciwszych a nieobecnych ludzi — *tchórzliwy* z natury śm.....l odwraca się zawsze anonimowo tyłem do przeciwnika, bryzga wonnym płynem i zmusza do ucieczki najsilniejszych i najodważniejszych.

Po 3-ie, ten sposób reakcji na przykre dla nas rzeczy tego świata, został nam udzielony przez Opatrzność, w dniu stworzenia śm.....li. Zachowuje się tradycyjnie przez wszystkie pokolenia, uświęcony został w naszych starożytnych księgach, usprawiedliwiony przez naszych przyrodników i oszacowany wysoko przez naszych filozofów.

Skutkiem tego zaprzestanie tak zwanego śm.....a uważalibyśmy za bunt przeciwko Przeznaczeniu.

Z poważaniem

S..... Amerykański.



Czy podłość i idjotyzm wolno nazywać po imieniu?

Artysty zabić niepodobna. Można go tylko zagłodzić.

Stanisław Przybyszewski.

(Uregulowanie drobnego rachunku z „Gońcem“)

Będę miał jeszcze sposobność mówić o mdłych konfiturach pochlebstw, które mi nakarmiły mnie nieraz niedołężne sprawozdawcze ręce — a z którymi — zawsze wdzięczności godna rzeczowa pochwała ludzi rozumnych nie wspólnego niema.

Dziś pragnę pomówić o zatrutej ślinie wściekłych zer, z którą podobnież nie wspólnego niema zawsze szacunku godna rzeczowa nagana choćby najsurowszych krytyków.

A dlatego mówię tak bez ogródki — odrzucając na chwilę moją stałą metodę *gryzienia sercem* — że nie widzę powodu do elegancyi względem ludzi, którzy *systematycznie starali się mnie zagłodzić*, a nie dopięli celu „szlachetnego sportu“ jeno dzięki okolicznościom przypadkowym — *lecz może go jeszcze kiedyś dopną*. A to nie jest wcale frazesem — to jest gorzkim rachunkiem materialnych rezultatów niezmordowanej pracy dni i nocy!...

Korzystam z drobnej sposobności, aby uregulować jeden z wielu rachunków „Gońca“ na moje imię, których dotąd nie miałem czasu zapłacić.

W dzisiejszym numerze kończy się mój odczyt o „Kobiecie“ (por. N.N. 16, 18, 19, 20, 22, 23). Moi czytelnicy wiedzą, co myśleć o tej mojej pracy — o materiale wiedzy, który posłużył za jej ośnowę, oraz o jej tonie i charakterze, zwłaszcza jeżeli zważyli, w jak ciężkich warunkach czasu wypowiedzianą została (w kwietniu roku zeszłego!)

Niechaj-że na kartach „Wolnego Słowa“ upamiętnionem zostanie, jak nędzna tchórzliwość, która łże, że jej potrzebną jest wolność słowa, gdy ona pragnie tylko bezwstydu i wolności gesztu — napotykała odwagę myśli i szczerść uczuć i przekonani.

Oto jaką wzmiankę umieścił w „Gońcu“ wieczornym z dn. 15 kwietnia 1907 r. bezimienny sprawozdawca, którego imienia nie znam, bo któż jest ciekawy imienia wzmiankarzy na wieki bezimiennych?

„Kobieta w walce o wolność. I znów nieustrudzony i niewyczerpany w pomysłach p. Leo Belmont stanął wczoraj na estradzie

w wielkiej sali Filharmonii — oczywiście, w charakterze prelegenta ultrapostępowego i nadradykałnego.*)

Oto przygrywka eunucha, wyczerpującego się najlżejszym ruchem myśli i ultrazakochanego w nadkonserwatywnym śmietniku.

„Tym razem mówił o „kobiecie, jako ofierze i bojowniczce w walkach politycznych“.

„Rzecz prosta, trudno wymagać od przygodnego mówcy, a zwłaszcza od p. Leo Belmonta, aby powiedział coś nowego, lecz słuchacze, zwabieni i pociągnięci obiecującym tytułem, mieli chyba prawo oczekiwać pewnych zestawień i wniosków, ukazujących we właściwym świetle kobietę, jako bojowniczkę o wolność“.

Trudno wymagać od nieprzygodnego „zwłaszcza“ głupca, aby wyjaśnił, po ilu mowach mówca przestaje być „przygodnym“, jakich to jeszcze „nowości“ i „wniosków“ oczekuje „zwabiony obiecującym tytułem“ ignorant i frazesowicz od nieprzygodnych mówców, jakich to „pewnych“ zestawień zabrakło mu w moim odczycie i co to za „właściwe“ światło wniosków, które w mrokach jego kapuścianej głowy oświećla kobietę, walczącą o wolność.

„Nie z tego: dowiedzieli się tylko tyle, że były kobiety-bohaterki i kobiety, które padły ofiarą walk politycznych. Poza tem p. Leo Belmont urządził istne harce po księgach dziejów ludzkości. Dziesiątki głośnych i ogólnie znanych nazwisk i imion zmieniały się, jak w kalejdoskopie. Więc: Ifigenja i pani Walewska, Judyta i Karolina Corday, Aspazja i Georges Sand, hrabianka Perowskaja, Joanna d'Are, Salome, córka Jeftego, pani Roland — i wiele, wiele innych“.

Słowem nie wolno *charakteryzować* Judyty i Karoliny Corday, Perowskiej i pani Roland — bo oszust informujący fałszywie publiczność, nazwio to tylko „zmienianiem się imion“ i zarozumiały matolek niczego się nie nauczy. Nie wolno sięgać do skarbca historii, bo pyszałkowaty żreback „Gońca“ nazwie to „harcami“. Albowiem mówić o kobiecie w dziejach wolno tylko tym, którzy dziejów nie znają i nie czują nic!..

Wmyślcie się, proszę, w ton mojego odczytu, rozważcie koniec, brzmiący echem wspaniałej pieśni Mickiewicza „Do matki Polki“, i zastanówcie się jeszcze nad tem, ile płaskości i podłości trzeba, aby wypchawszy słomą swojego

*) Nadradykałny?!.. Patrzcie! Policja się nie pogniewała, a anonim z „Gońca“ się złąkł!

mózgu taką idjotyczną poduszkę sprawozdawczą, jeszcze pakować mi w posładek przez nią taką bezmyślnie-nieudaną szpilkę:

„Ze zdziwieniem jeno zaznaczyć wypada, że p. Leo Belmont przypomniał o pobratymczej duszy i tak ze wszech miar sympatycznej osobie, jak pani Róża Luksemburg“...**)

Z którejkolwiek strony rozpatrywać ten „docinek“ — nie będzie on plamą na niczym honorze, sympatycznym, lub nie, będzie tylko znamię nędzy umysłowej i moralnej sprawozdawcy.

A ten pan potrafił skłamać nawet czas odczytu, bo od 5½ (faktyczny początek prelekcji) do 7½ (gdym nie rozporządził już salą Filharmonii) nie mogły upłynąć 3 godziny!

A skoro publiczność dziękowała mówcy za blisko 2-godzinny odczyt „*serdeczności oklaskami*“ — to widać prelegent nie nadużył jej cierpliwości. Lecz i to przeszkadzało sprawozdawcy, który błotem swojej złości mściwie obryzgać raczył równocześnie prelegenta i publiczność:

**) Dziwi się? Cemu?... A toć gdybym wspominał -- do fałszywej denuncjacji przed polskiem społeczeństwem, można by dołączyć fałszywą denuncjację przed rządem. Tak wiele zawiniłem wobec „Gońca“, ponieważ odważyłem się pisać po polsku, zamiast żargonem — i trzeba mnie było bić pojedynczo, zamiast ryczałtem, jako „żywioty obce“.

„Cała galopada odczytowa trwała blisko trzy godziny, po których oszołomieni słuchacze podziękowali zaperzonemu mówcy serdecznym oklaskiem za tak bardzo upragnione zakończenie odczytu“.

Jest to zapewne ten sam sprawozdawca, który w tym-że „Gońcu“ po odczytaniu przezemnie „*Jednej sceny z tragedji polskich*“ nie potrafił nic innego powiedzieć, tylko tyle, że „jak wiadomo, p. Belmont nie ma szczęścia do mównicy“ (bo jest zawsze dobrze przyjmowany?), że tym razem „udział słuchaczy był niewielki“, że odczyt „mógł ominąć mównicę“ i „przyozdobić“ szpalty jednego z tygodników.

Otóż posłuchałem owej ironicznej rady („przyozdobić“ umieszczono w cudzysłowie) — i wykrukowałem „Jedną scenę z tragedji polskich“ w „Wolnem Słowie“.

Mogę się ludzić, że krytyka znajdzie w tym utworze złote kryształki myśli i uczuć — ale to pewna, że na czołe sprawozdawcy „Gońca“ nie znajdzie nic więcej, prócz miedzi...

Może redaktor „Gońca“ po zestawieniu moich nieznanych mu dawniej prac ze sprawozdaniami... nieznanego mu dawniej z wartości sprawozdawcy, przyjdzie obecnie do wniosku, że bywają recenzenci którzy żadnemu pismu honoru nie przynoszą.

Leo Belmont.

„Kurjer Lubelski“

Pismo polityczne, społeczne i literackie.

Kurjer jest prowadzony od dwóch lat przez grono inteligencji w duchu postępowym. Jako organ wolny i niezależny podjął przede wszystkim zadanie szerzenia demokratyzacji społeczeństwa polskiego ze szczególniejszym uwzględnieniem interesów warstw pracujących.

Kurjer działa w myśl najszerzej pojętej tolerancji religijnej.

Prenumerata „Kurjera“, wynosi: Rocznie w Lublinie 5 rb. 40 k., kwartalnie 1 rb. 30 kop. Poza Lublinem rocznie 6 rb., kwartalnie 1 rb. 50 kop.

Redaktor i Wydawca **Leo Belmont.**

„PRAWDA“

Najtańszy tygodnik postępowy w Królestwie Polskim prowadzony obecnie w duchu zasad Polskiego Zjednoczenia Postępowego.

Prawda jest czasopismem politycznym, społecznym i literackim.

Co kwartał abonenci „Prawdy“ otrzymują, jako dodatek bezpłatny do pisma, 6 arkuszowy zeszyt dzieła naukowego. Obecnie wychodzi w dodatku „Wstęp do prawa konstytucyjnego“ Dicey'go.

Cena prenumeraty „Prawdy“ płatna rocznie, półrocznie lub kwartalnie, wynosi w Warszawie Rb. 8.—, na prowincji, w Cesarstwie lub zagranicą Rb. 10.—.

Adres Redakcyi i Administracyi:

Warszawa, Rysia 3 — telefon 73-80.

Odpowiedzi od Redakcyi.

— *Prenumeratorowi, przypominającemu zdanie Krasińskiego.* Przypominamy wzamian „Dzwon Zatopiony“ Hauptmana („Trzymaj zdala koźle smrody“) „Piekło“ Dantego („Potwór wykreca posładek zapowietrza świat“), pisma Skargi o Arjanach etc. Nie, panie! mądry Krasiński nigdy nie pomieszałby satyry z chlewem.

Druk Kaniewskiego i Wacławowicza, Zienna 20.